

Wenezuełski gambit

27 stycznia 2019

Najgorszy blef Trumpa, najcięższa próba Maduro.

To miał być wstrząs: błyskawiczny cios polityczny, który zmiecie „dyktatora” Maduro. Jest „kraj w ruinie” i „zniewoleni ludzie”. Jest czarny charakter, który można o wszystko obwinić. Jest młody, szlachetny wybawiciel. Jest wreszcie „przywódca wolnego świata” przybywający z odsieczą. Co poszło nie tak? Po Białym Domu niesie się krzyk frustrata: „Gdzie jest moja Wenezuela?”

Wygląda na to, że koordynowany z Waszyngtonu przewrót w Wenezueli, prowadzony oczywiście pod hasłami „wolności i demokracji”, daleki będzie od blitzkriegu. Dwa dni po tym, jak Donald Trump oficjalnie uznał Juana Guaido, nikomu wcześniej na świecie nieznanego przewodniczącego Zgromadzenia Narodowego, za tymczasowego prezydenta kraju, pucz wyraźnie stracił impet. Ambitny plan obalenia Nicolasa Maduro bierze w łeb, bo – jak się właśnie okazuje – pozbawiony był planu. Jedynym zapleczem Amerykanów na miejscu jest chaotycznie działająca, niejednorodna prawicowa opozycja, skupiona ad hoc wokół nowego, namaszczonego przez Waszyngton lidera, zdolna jedynie do zwołania kolejnej demonstracji przeciwko „dyktatorowi” Maduro.

Wóz albo przewóz

Po tym, jak wojsko jednoznacznie opowiedziało się po stronie legalnie wybranego prezydenta, Stany Zjednoczone nie mają żadnych innych kart do zagrania oprócz rozwiązania ostatecznego w postaci bezpośredniej interwencji zbrojnej. Bardzo wątpliwe jest, by Trump się na nie zdecydował, bo prawdopodobnie z każdym dniem bardziej będzie do niego docierać świadomość, że jego „marszem na Caracas” kieruje czyste „chciejstwo”. Tym mniej jest to możliwe w sytuacji, gdy

armia wiernie trwa przy władzy, Chiny i Rosja bez cienia zawahania poparły Maduro, a Władimir Putin od niedawna wspiera Wenezuelę wojskowo.

Guaido sam ogłosił, że reprezentuje jedyną demokratyczną instytucję w kraju, stanie zatem na czele „rządu tymczasowego”. Udzielając mu poparcia Amerykanie spodziewali się pewnie, że sprowokuje to władzę do gwałtownych represji i podzieli wojsko, a im da casus belli. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Decydującą próbą sił może się okazać spór o amerykański korpus dyplomatyczny. W odpowiedzi na poparcie próby niekonstytucyjnego przejęcia władzy przez Waszyngton 23 stycznia Maduro zerwał stosunki z USA. „Posunęli się za daleko” – oznajmił tłumowi swoich zwolenników zebranemu wokół pałacu prezydenckiego. „Niech się stąd zabierają!” Dał amerykańskim dyplomatom 72 godziny na spakowanie manatków i opuszczenie jego kraju. Sekretarz Stanu USA Mike Pompeo początkowo odniósł się do tej decyzji lekceważąco. Stanął na stanowisku, że Maduro nie ma prerogatyw pozwalających mu wyrzucać kogokolwiek z kraju, bo nie jest pełnoprawnym prezydentem. Próbował zatem oprzeć powodzenie puczu na grze legitymizacją, popisując się w istocie jedynie arogancją, ponieważ wysłał tym samym komunikat: „Będziemy robić w waszym kraju, co chcemy, przecież nie ma kto nam zabronić”. Zagroził, że Stany Zjednoczone są gotowe użyć „wszelkich środków”, by chronić swoich przedstawicieli. Rzecz w tym, że nie mają realnych środków.

Pompeo sam chyba prędko dostrzegł słabość tego blefu – dzień później Departament Stanu „stanowczo zalecił” jednak swoim ludziom w Caracas opuszczenie kraju. Jeżeli Trump „odpuści” sprawę dyplomatów, będzie to znaczyło, że odpuszcza wszystko. Nie będzie miał jednocześnie żadnego problemu w robieniu dobrej miny do złej gry: kilkukrotnie okazywał się już mistrzem odwracania kota ogonem na Twitterze. Stroszenie piórek jest jak na razie jedyną taktyką użytą przez USA w tej grze, dlatego przegrają – zainteresowane strony potrzebują

konkretów. Agencje donoszą o przedstawicielach USA opuszczających już Wenezuelę. Nie dali się ubłagać nawet apelom samego „tymczasowego prezydenta”.

Ponieważ Trump grzmiał, że „wszystkie opcje są na stole”, część publicystów w mediach niechętnych zarówno Maduro, jak i Trumpowi [wszczeło alarm](#), że oto naciąga katastrofa nowej interwencji zbrojnej. Że Irak, Afganistan i Syria nikogo niczego nie nauczyły. To nie tak. Syria zaczęła się od starannie, przez wiele lat wcześniej planowanej wojny hybrydowej. Nic takiego nie miało miejsca w Wenezueli i sytuacja pokazuje, że na razie się nie wydarzy. Atut w postaci realnej możliwości użycia siły przez zbuntowane wojsko jest czynnikiem niezbędnym, by przejęcie władzy nastąpiło – niezależnie od tego, po czyjej stronie leży racja – bo też o żadną rację tu nie chodzi. Chodzi o ropę naftową.

Waszyngton boso, ale w ostrogach

Pobożne życzenie, że armia Maduro przestraszy się oficjalnego oświadczenia Białego Domu uznającego Guaido – bo chyba nie niego samego, ani kolejnej demonstracji zwołanej 23 stycznia przez opozycję – i przejdzie na stronę Amerykanów, świadczy o postępującym odrealnieniu ekipy Trumpa. „Przywódca Wolnego Świata” straszył Wenezuelę najazdem, odkąd objął urząd i przez chwilę wydawało się, że traktuje sprawę poważnie. New York Times informował jesienią, że amerykańscy oficjele spotkali się z generałami armii wenezuelskiej, oferując im pomoc w ewentualnym przejęciu władzy. Propozycja została jednak odrzucona. Wojskowi wykazali się dobrą intuicją – jeżeli nie ze względów pryncypialnych, to chociażby dlatego, że niedługo potem plan ich niedoszłych partnerów w spisku ujrzał światło dzienne na łamach wiodącego światowego medium. Z takimi amatorami nie wchodzi się w układy. Armia doskonale widzi też, że opozycja nie ma społeczeństwu do zaoferowania nic poza obsesją wyrwania chavizmu z korzeniami – chavizmu, który obecną pozycję zapewnił wielu oficerom. Dlatego odrzuciła

również [załoty ze strony przeciwników Maduro w Caracas](#).

Amerykanie nie będą mieli okazji rozegrać z powodzeniem scenariusza z 2002 r. Zamach stanu zmontowany przez ekipę Busha opierał się jednak na realnym buncie części wojskowych przeciwko Hugo Chavezowi. Miało już wtedy dojść do zaprzysiężenia marionetkowego prezydenta, plan spalił jednak na panewce, kiedy prawie milionowy tłum chawistów wyległ na ulice Caracas bronić swojego przywódcy. Armia się wówczas zreflektowała i zamknęła sprawę. Prezydent Chavez okazał się z kolei nad wyraz łaskawy.

Nicolas Maduro cieszy się zaledwie ułamkiem popularności swojego legendarnego poprzednika. Utracił zaufanie Wenezuelczyków podczas ostatnich kilku lat naznaczonych nieustannym kryzysem, z którego nie próbował znaleźć zdecydowanego wyjścia. Uliczne potencjały jego zwolenników i przeciwników z grubsza się równoważą, jednak i tych okoliczności Waszyngton nie był w stanie wyzyskać.

Po pierwsze dlatego, że nie potrafi racjonalnie ocenić sytuacji. Niedawno okazało się, że John Bolton prosił we wrześniu Pentagon o ostrzelanie rakietami dalekiego zasięgu terytorium Iranu w odpowiedzi na incydent w Iraku. Ta ekipa zdecydowanie „nie ogarnia”. Trump miał na swoje rozkazy Rexa Tillersona, który był wcześniej szefem Exxon Mobil, korporacyjnego giganta, od lat marzącego o [odzyskaniu terenów roponośnych w Wenezueli](#). Prezydent sprawia jednak wrażenie, jakby z rozmysłem starał się pozbywać wszystkich, którzy mogą pomóc mu zachować jakikolwiek związek z rzeczywistością. Nic dziwnego, że uznał teraz namaszczenie Juana Guaido na przywódcę „wolnej Wenezueli” za magiczny sposób na zmianę układu sił w Caracas. Ponieważ zmiana nie nastąpiła, trudno wykluczyć, że teraz Bolton każe Pentagonowi zaatakować Wenezuelę, lecz w takiej sytuacji zapewne znów odejdzie z kwitkiem.

Z drugiej strony, obiektywna rzeczywistość społeczno-

polityczna w kraju rządzonym przez Maduro nie daje podstaw do decydującego rozstrzygnięcia na korzyść interwentów. Prawdą jest, że duża część obywateli, również chavistów, ma dosyć Maduro z powodu jego niekompetencji, braku charyzmy i woli politycznej do bezkompromisowego wypchnięcia Rewolucji Boliwariańskiej z letargu, z którym sam Chavez chciał skończyć. Wenezuelczycy, którzy w przeciwieństwie do światowych mediów głównego nurtu pamiętają zarówno życie w materialnym upodleniu przed Chavezem, jak i zamach na niego w 2002 r., nie pozwolą, by ich kraj stoczył się z powrotem na uwłaczającą im pozycję folwarku amerykańskich miliarderów. Dobrze wiedzą, czego Stany chcą od ich kraju – przeważnie są świadomi, że ich terytorium kryje największe złoża ropy na ziemi. Kto wie, być może nachalne promowanie Guaido przez Waszyngton zaszkodziło jego wizerunkowi w oczach samych Wenezuelczyków.

Teoretycznie pozostaje jeszcze możliwość „interwencji zastępczych” ze strony Kolumbii i Brazylii. Prezydenci obu krajów są wrogo nastawieni do Maduro i podważali prawomocność jego władzy. W trakcie zeszłorocznej kampanii wyborczej Jair Bolsonaro zapowiadał wprost, że zrobi wszystko, by „uwolnić” Wenezuelę od Maduro. Po objęciu urzędu zamilkł na ten temat, udzielając jedynie poparcia Guaido. Rząd Kolumbii zdementował pogłoski, jakoby planował interwencję w Wenezueli, ale było to zanim świat się dowiedział o Juanie Guaido. Ani Brazylia, ani Kolumbia nie wykonają jednak oficjalnie żadnego kroku bez sygnału z Waszyngtonu. Prezydent Maduro ostrzegał jednocześnie, że na Florydzie za wiedzą Boltona szkolą się kolumbijscy paramilitares, trzeba więc liczyć się próbą rozpętania wojny hybrydowej na terytoriach przygranicznych. Jeśli jednak armia wenezuelska pozostanie wierna prezydentowi, interwencja zbrojna w celu zmiany władzy w Caracas na pełną skalę nie wchodzi w grę.

Im gorzej, tym lepiej

Co jednak z legitymizacją obu stron? Czy Maduro jest rzeczywiście okrutnym dyktatorem, a opozycja skupiona dziś wokół Guaido – emanacją „Woli Ludu”, jak nawet nazywa się jego partia? Nie. Wenezuelskie standardy demokratyczne są rzeczywiście słabe. Trudno jednak oczekiwać, że po próbie przewrotu w 2002 r. chawizm będzie się bronił wyłącznie środkami czysto demokratycznymi przed ludźmi, którzy wówczas w pełni poparli siłowe usunięcie Chaveza. Trudno bronić się w pełni demokratycznymi środkami przed obłąkańcami, którzy zwolenników Maduro palili już żywcem, przed tymi, którzy z helikoptera obrzucali granatami budynki rządowe. Wściekła przemoc opozycyjnych sił ulicznych jest tak dobrze udokumentowana, że o jej istnieniu zmuszona była być napisać nawet „Gazeta Wyborcza”. W relacji z „triumfalnych” marszy stronników Guaido 23 stycznia, nie dało się przemilczeć palenia aut na ulicach i dewastacji mienia w Caracas.

Również czołowi politycy opozycyjni nastawieni są wyłącznie konfrontacyjnie: obalenie Maduro dzięki pomocy USA stanowi ich jedyny program dla kraju. Od lat nie zajmują się niczym innym, regularnie kursując jednocześnie do Stanów na spotkania głównie z republikańskimi senatorami otwarcie nawołującymi do obalenia wenezuelskiego przywódcy za wszelką cenę. W USA wśród lobbystów tej sprawy wyróżnia się przede wszystkim senator Marco Rubio, który chyba najczęściej przyjmuje gości z Wenezueli. Zaraz za nim sytuuje się „niezastąpiony” John Bolton, który najchętniej obaliłby wszystko i wszystkich poza granicami USA.

Trudno wyłącznie według standardów demokratycznych traktować partie polityczne, które nigdy nie zająknęły się nawet na temat sankcji, jakimi Stany Zjednoczone duszą i tak ledwo żyjącą gospodarkę Wenezueli. Nigdy też nie próbowały nakreślić chociażby pomysłu na walkę ze spekulacją i wywozem towarów, które rujnują kraj. Polityka, której przyświeca

zasada „im gorzej, tym lepiej” w pełni określała sposób działania opozycji, od kiedy wygrała wybory parlamentarne w 2015 r. Wykrwawienie chavizmu przez doprowadzenie kryzysu do skrajności – to ich jedyny plan. Reprezentują najbogatsze rodziny w Wenezueli, więc spokojnie przetrwają zapaść, którą zgotują reszcie. Oni chcą amerykańskich sankcji! Wiedzą, że to działa: nawet kongres USA otrzymał raport, gdzie [czarno na białym stwierdzono](#), że sankcje tylko pogłębiają kryzys w Wenezueli. To ta cyniczna strategia ukształtowała sytuację, w której możliwe jest to, że wszystkie liberalne media bezmyślnie powtarzają śpiewkę Trumpa: Maduro wybrany bezprawnie, Zgromadzenie Narodowe ostoją demokracji.

Obecny impas polityczny wynika z faktu, że ZN nie uznaje prezydenta, a prezydent ZN. Trzy lata temu Zgromadzenie zostało pozbawione uprawnień ustawodawczych przez Sąd Najwyższy, ponieważ opozycja nie godziła się na tymczasowe zawieszenie mandatów trzech deputowanych, którzy zostali w 2015 r. wybrani w okręgach, gdzie doszło do nieprawidłowości wyborczych. Opozycja otrzymała możliwość wprowadzenia na ich miejsce innych posłów ze swoich list, zdecydowała się jednak grać *va banque* i nie ustępować ani na krok. W efekcie od stycznia 2016 r. działalność ZN pozostaje w zawieszeniu, część prerogatyw ustawodawczych przejął Sąd Najwyższy, a prezydent Maduro w tym czasie starał się oprzeć politycznie na Zgromadzeniu Konstytucyjnym – ciele powołanym w wyborach 2017 r. ZK jest przez mainstream medialny wyśmiewane jako instytucja wyłącznie marionetkowa, chociaż zgodnie z założeniami chavizmu ma ucieleśniać charakterystyczną dla niego szerszą ideę demokracji, wykraczającą poza parlamentaryzm.

Blokada ustawodawstwa zainicjowana przez samą opozycję dała jej następnie pretekst do zaostrenia konfrontacji politycznej w 2017 r. kiedy podczas starć ulicznych padło blisko 200 ofiar śmiertelnych. W dalszej kolejności przyszedł bojkot wyborów prezydenckich w 2018 r., o których błędnie piszą niektóre

polskie media, że kandydaci opozycji nie zostali dopuszczeni do udziału w nich, czy nawet wtrąceni do więzienia. To brednie. Poszło o to, że do startu w wyborach nie został dopuszczony głównie Henrique Capriles – frontman opozycji – bo ciążył na nim wyrok sądowy. To była ostatnia prosta, na której w pełni ujawniły się niszczycielskie intencje opozycji i charakter tej formacji. Jej delegacja prowadziła negocjacje z rządem w sprawie porozumienia wyborczego na neutralnym gruncie, w Republice Dominikany. Osiągnięto nawet warunki porozumienia. Jednak dzień przed podpisaniem go przez obie strony, projekt został odrzucony przez opozycję po interwencji przedstawicieli USA.

Tak rozpoczął się bojkot wyborów, mogący mieć na celu wyłącznie pogłębienie istniejącego kryzysu. Nie mówi się w tym przypadku o bojkocie demokracji – od tej chwili zaczęła obowiązywać narracja o „sfałszowanych wyborach prezydenckich” w Wenezueli. Większość liberalnych demokracji świata faktycznie ich nie uznała. W tych okolicznościach Nicolas Maduro, który praktycznie pozbawiony konkurencji swobodnie wygrał głosowanie 20 maja 2018 r. został zaprzysiężony na kolejną kadencję 10 stycznia 2019 r. Dzień później Juan Guaido, nowo wybrany przewodniczący pozostającego w zawieszeniu ZN, ogłosił, że Maduro obejmuje urząd bezprawnie. Za to on, jako głowa podstawowego konstytucyjnego organu władzy, zgodnie z ustawą zasadniczą jest gotów stanąć na czele rządu tymczasowego, który „przywróci demokrację” w Wenezueli. [Według Agencji Reutera](#) podjął tę decyzję po uprzednim wykonaniu co najmniej dwóch rozmów telefonicznych z wiceprezydentem USA Mikiem Pence’em. Niecałe dwa tygodnie później, w dniu wielkiej manifestacji opozycji, Biały Dom ogłosił go prezydentem tymczasowym Wenezueli, obiecując mu jednocześnie pełne wsparcie dyplomatyczne i ekonomiczne. Zaraz potem uznanie popłynęło od wszystkich prawicowych rządów w Ameryce łacińskiej. Z kolei Hiszpania, Francja i Niemcy postawiły Maduro ultimatum: ogłosi w ciągu tygodnia nowe wybory, albo z poprą Guaido. W tonie przyjaznym dla uzurpatora

wypowiedziała UE ustami Donalda Tuska. Tak Guaido stał się uosobieniem „wolności i demokracji”.

Patrząc na wszystko z perspektywy czasu, trudno oprzeć się wrażeniu, że wydarzenia rozgrywały się według scenariusza chilijskiego z okresu rządów Allende: najpierw wojna ekonomiczna, potem interwencja. A raczej miały się tak rozegrać. W interwencji zabrakło jednak konkretnego, czyli wenezuelskiej junty. Nie widać na nią szans. Stawka gry pozostaje jednak podobna jak w Chile.

[Craig Murray](#), potępiając cyniczne postępowanie światowych przywódców, trzeźwo zauważył, że „za jego czasów” rządy uznawały prawomocność tych władz państwowych, które faktycznie kontrolowały terytorium swojego kraju – taka była zasada dyplomacji wykazującej minimalne zainteresowanie rzeczywistością. Skąd więc skłonność liderów „wolnego świata” to uznawania tych, którzy zwyczajnie odpowiadają im politycznie? Jasne przecież, że jedynym przywódcą Chin nie ogłoszą nagle prezydenta Tajwanu. Wyszli zwyczajnie z założenia, że imperialistyczny blef Trumpa przysporzy korzyści ich globalnej agendzie liberalnej. A przynajmniej mogli w to wierzyć przez dwa dni, dopóki media nieomał nie zamilkły na temat Juana Guaido, który dla świata powoli staje się na powrót nikim. Ostatnia wiadomość dotycząca go w dniu 25 stycznia jest dość komiczna i mówi tylko, że obiecał Maduro „amnestię”, jeżeli ten złoży urząd. Telewizja Univision, która o tym doniosła, poinformowała jednocześnie, że miejsce pobytu Guaido pozostaje nieznane.

Obronić dziedzictwo Chaveza

Czy domniemany „rząd tymczasowy”, który ma podobno powstać, miałby dla Wenezuelczyków jakąkolwiek ofertę poza posłuszeństwem Waszyngtonowi? Tak. Po ogłoszeniu się głową państwa przez Guido, opozycja opracowała ogólne [założenia do ustawodawstwa](#), które miałyby obowiązywać w okresie „przejścia

do demokracji". Jego najważniejszy fragment brzmi:

„Zniesione zostaną centralna kontrola, arbitralne metody wyłączenia i tego rodzaju środki (...) W tym celu scentralizowane metody sterowania gospodarką zastąpione zostaną modelem wolnorynkowym na podstawie prawa każdego obywatela Wenezueli do pracy w warunkach gwarantujących prawo własności i wolną przedsiębiorczość (...) Spółki publiczne zostaną poddane restrukturyzacji umożliwiającej efektywne i przejrzyste zarządzanie, m.in. poprzez partnerstwo publiczno-prywatne”

Należy dodać do tego rozważane przez Guaido zwrócenie się o pomoc w finansowaniu jego „rządu” do MFW, co w sposób oczywisty oznacza gotowość do neoliberalnych reform. Cel jest więc jasny: przywrócenie stosunków społecznych sprzed prezydentury Chaveza, cofnięcie całej postępowej polityki. Koniec marzeń o równości, o życiu w minimum bezpieczeństwa materialnego, o kształceniu dzieci, koniec szans biednych na dostęp do służby zdrowia. Powrót do Wenezueli posiadanej na własność przez wąską elitę najbogatszych.

Wspomniany wcześniej Craig Murray, były brytyjski dyplomata, obecnie ekspert i publicysta sympatyzujący z ruchami postępowymi, jednoznacznie uznający Maduro na stanowisku prezydenta, przypomina, że praktyka chawizmu oparta została na dwóch naczelnym imperatywach: 1) W kraju o największych na świecie zasobach ropy ludzie nie powinni głodować gnieźdząc się w slumsach, 2) CIA nie powinna rządzić Wenezuelą. Oba te pryncypia są obecnie zagrożone. Tak, prezydent Maduro jest współodpowiedzialny za zaniedbania, które spowodowały zagrożenie na te filary. Jednocześnie tylko on w Wenezueli nawołuje i zaprasza do dialogu, którego celem jest rozwiązanie dręczącego kraj dziejowego kryzysu politycznego i gospodarczego – zarówno na obszarze krajowym jak i międzynarodowym. Na szczęście za tym podejściem opowiedział się bezwzględnie sekretarz generalny ONZ Antonio Guterres. Sytuacja w gronie Narodów Zjednoczonych na pewno nie jest

jeszcze rozstrzygnięta, bo Mike Pompeo stara się przekonać do uznania Guaido członków Rady Bezpieczeństwa. Na szczęście też Stanom Zjednoczonym nie udało się przeforsować rezolucji przeciwko Maduro na forum Organizacji Państw Amerykańskich.

Moc waszyngtońskiego blefu właśnie się wyczerpuje. A moc chavizmu nie wyczerpie się tylko wtedy, gdy cały czas będzie parł naprzód: poza redystrybucyjne półśrodki, poza paternalistyczne szopki z „kochanym prezydentem” w roli półbóstwa – za to do pełnej demokracji uczestniczącej, do uwolnienia się od „burżuazji boliwariańskiej”, do nowych stosunków produkcji, do socjalizmu XXI wieku. Droga jeszcze daleka, ale poczyniono już tyle wysiłku, że zawracać na pewno nie warto.

Autorstwo: Paweł Jaworski

Źródło: Strajk.eu